

*Profesor Julian Maliszewski we
wspomnieniach Rodziny i Przyjaciół*



*W piątą rocznicę śmierci
9 lutego 1951 - 11 stycznia 2020*

O PROFESORZE WSPOMNINAJĄ:

- Str.1 ZOFIA MALISZEWSKA
- Str. 3 MIKA BEREZOWSKA
- Str. 5 LESZEK BLASZKE
- Str. 6 ALINA BRYLL
- Str. 7 JANUSZ BURZA BURZYŃSKI
- Str. 8 ROBERT GŁĘBOCKI
- Str. 9 ANDRZEJ KĄCKI
- Str. 11 MIREK KRAWCZYK
- Str. 13 JAN KAROL MINKNER
- Str. 15 ZBYSZEK MUŻECKI
- Str. 17 KRZYSZTOF PUMA PIASECKI
- Str. 18 MARTA WIŚNIEWSKA
- Str. 19 TERESA WIŚNIEWSKA

Część wspomnień pochodzi z publikacji wydanej z okazji 60-tych urodzin pt. *O Profesorze Julianie Maliszewskim Przyjaciele* pod red. A. Bryll, I. Sikora, M. Walczyński. Opole: Volumina.pl: 2013.

Zamieszczone fotografie pochodzą z archiwów rodzinnych profesora Juliana Maliszewskiego.

Zdjęcie na okładce: Janusz Burza Burzyński

ZOFIA MALISZEWSKA

Idę do teatru...

Siedzimy jak zwykle w kuchni przy porannej kawie obłożeni stosem tygodników i codziennej prasy. Mój wzrok przyciąga repertuar opolskiego teatru. Spośród bogatej oferty wybieram *Małe zbrodnie małżeńskie* Erica-Emmanuela Schmitta. Coś dla mnie, czytam, że parze aktorów udało się pokazać życiową prawdę, są w pełni wiarygodni, bezbłędnie oddali całą różnorodność emocji od rozczarowania, złości, nienawiści po bezradność, poczucie krzywdy, miłość, czułość, oddanie. Samo życie. Staram się więc zachęcić męża do pójścia razem na sztukę. „Co? Na tych kuglarzy? Same banały! Idź z koleżanką”. Gdybyż się na tym skończyło. Minęło parę minut i pierwsze pytanie : proszę podać tytuł oryginału, jasne, że nie mam pojęcia ale już mąż idzie z pomocą : *Petits crimes conjugaux*. Teraz odpytywanie z wymowy, powtarzam z pięć razy ale mąż ciągle nie usatysfakcjonowany moim francuskim. Sam powtarza kilkakrotnie, chwale go i ten etap mam za sobą. Uff, odetchnęłam z ulgą. Niedługo jednak nacieszyłam się ciszą. Teraz pytanie o najpoczytniejszą powieść autora sztuki a ja znowu nie mam pojęcia, więc słyszę: " I się zes...ło". Będąc z natury bardzo szczerą muszę ujawnić, że z soczystym językiem Męża walczę od 40-tu lat, a więc tyle, ile trwa nasze małżeństwo i ciągle przegrywam. Jedynym plusem tej językowej mozaiki jest to, iż poznałam słowo "diglossia" - dla nie wtajemniczonych - posługiwanie się dwoma typami języka w zależności od sytuacji i od tego z kim się rozmawia. Mój mąż oba typy języka opanował znakomicie. Wracajmy jednak do autora sztuki. Już wiem o jaką powieść chodzi, to *Oskar i pani Róża*, łatwe, z pewnością zapamiętam, na pewno będę jeszcze odpytywana w ramach "terroru intelektualnego". Spokojnie czytam prasę, mąż zniknął z pola widzenia gdy znienacka na czytany przeze mnie artykule ląduje wydruk z Wikipedii z życiorysem i bibliografią Schmitta. Chcąc nie chcąc muszę to przeczytać ze dwa, trzy razy, aby wieczorem, znienacka, odpowiedzieć na pytanie, nie tylko gdzie się urodził, ale też z czego zrobił doktorat i gdzie aktualnie mieszka. Zawsze dodatkowy sprawdzian z wiedzy o stolice państwa z którego pochodzi autor. Europejskie mam już w małym palcu, gorzej z tymi dalszymi. I znowu wracamy do teatru, z którego wróciłam bardzo późno. Wiem, że mogę zostać "napadnięta" mimo, iż mąż w tym czasie ogląda ciekawy film czy słucha Mezzo. Zawsze przerwie swoje przyjemności aby zapytać "ofiarę" o nazwiska aktorów, wrażenia ze sztuki i oczywiście... tytuł po francusku. Stymulacja intelektualna na full. Na następnej porannej kawie zakończenie "akcji teatr" pytaniem : „Duduś! Czy ty na pewno byłaś wczoraj w teatrze? A może z jakimś panem na romantycznej kolacji”? Tu już tylko moje wymowne spojrzenie jest odpowiedzią. Na szczęście nie przepytuje ośmioletniego wnuczka Ignasia, z nim tylko zabawa i wygłupy. Często mu kibicuje przy grach komputerowych, które wymagają nie lada zręczności. Dziadek śledzi kolejne poziomy, radzi jak najszybciej pokonać przeszkody, ale kiedy zaproponowałam by sam spróbował, odpowiedział : „Nie chcę wnuczkowi psuć zabawy”. Sic! Kiedy zaś powiedziałam Ignacemu, że będę musiała dziadkowi zwrócić uwagę aby w

siłowych zmaganiach i "kotłowaniu" na łóżku był delikatniejszy (bo niekiedy wariacje kończyły się niesnaskami), Ignacy odpowiedział : „Taki dziadek, to nie dziadek”.



Julian Maliszewski z ukochaną żoną Zofią po zdobyciu nagrody za piosenkę "Słoneczny zegar" na Zimowej Giełdzie Piosenki Studenckiej (1973 r.)

Drodzy Czytelnicy (*Przyjaciele Juliana*) !

Dorobek naukowy Juliana jest wynikiem bardzo gospodarnego i skrzętnego wykorzystania potencjału twórczego, którego przydział każdy z nas Odgórnie otrzymuje. Wielu z nas po prostu go nie wykorzystuje, trwoni, albo wręcz przegrywa w hazardzie życia.

Mówiąc językiem marketingowym Julian - swoje zasoby osobiste właściwie skapitalizował i pomnożył , nieustannie je konsumował, obracając coraz to nowymi wartościami, nawet poza marketingiem naukowym.

Właściwie zarządzał swym intelektem i nie pozwalając sobie na urlop oraz przerwę w rozwoju zawodowym i osobistym.

Jako przyjaciółka domu miałam jednak możliwość zaobserwowania w osobowości Juliana istnienie takiej **właściwości**, która najprościej mówiąc - **jest dobra na wszystko**.

Co to oznacza ?

W wyjaśnieniu można ją porównać **do suplementu biologicznie czynnego**, zbliżonego swym składem do serotoniny czy dopaminy. Nazwałam ją roboczo ***Serotoninum Julianum*** .

Została pozyskana z najdorodniejszych owoców rodziny Maliszewskich i przeznaczona do użytku wewnętrznego.

Co sprawia, że posiadacz takiego wyróżnika, tak nieczęsto występującego w profilu osobowościowym otaczających mnie ludzi działa tak aktywizująco na otoczenie?

W jakich sytuacjach została zarejestrowana skuteczność i efektywność wpływu Juliana?

Otóż moje badania metodą obserwacji zostały prowadzone na przestrzeni 30 lat, w „grupach badawczych” liczących od 2- 30 osób, różnych wiekowo, o odmiennych profesjach, różnorodnych typach charakteru, statusach społecznych, płci, itd...

Obecność Juliana w towarzystwie wyraźnie poprawiała wskaźnik grupowej energii pozytywnej. Odnotowywałam znaczne podwyższenie nastroju grupowego, aktywizacji ośrodków odpowiedzialnych za zdrowy śmiech współbiedników, co z kolei przekładało się na zainteresowanie poszczególnych osób promocją indywidualnej wiedzy i umiejętności.

Ogólnie rzecz ujmując- w obecności Julka efektywnie rosła krzywa radości ze wspólnego przebywania. Rozproszeniu ulegała nuda, chandra, splin i wszystkie inne pochodne fatalistycznego podejścia do świata. Naczelnym hasłem Juliana była promocja każdego dnia życia i uruchomienie wszystkich podzespołów w człowieku, które mogą znacznie poprawić jego psychiczną kondycję.

I oczywiście w efekcie zwyżkować u osób przebywających w jego kręgu, oceną rzeczywistości .

Serotoninum Julianum miało właściwości hormonu radości i neuroprzekaznika energii. Ich niedobór zostawał uzupełniony już w czasie krótkiej rozmowy telefonicznej z Julianem, a co dopiero w czasie wspólnego biesiadowania poła czego koncertem muzycznym Julka. Bywają też w życiu kłopotliwe sytuacje: zagmatwana sprawa urzędowa, syndrom wypalenia zawodowego, ubytek kreatywności, brak akceptacji dla ubywających z latami - zdrowia i urody. Bywają niejasności metody osobistego future basing, poczucie

absolutnej pustki i niedowierzenie, iż w jednym człowieku może istnieć kilka preferencyjnych typów inteligencji (H. Gardner) .

Często też bywa, że nie ma dostępu do słownika wyrazów obcych, nie można znaleźć desygnatu znaczeniowego do dawno nieużywanego słowa albo go przetłumaczyć na język obcy.

Wtedy **zawsze** istniała możliwość podłączenia się do programu, w którym serotonina Juliana podziała na człowieka stymulująco i rozwijająco.

Trzeba pamiętać jednak o tym, że udziałem w bezpłatnym, społecznym programie **Pro-energia Juliana** zarządzała jego żona – Zosia.

Bez jej wsparcia nie było szans na jego pozyskanie.

Miałam jednak szczęście znajdować się na liście stałych klientów, więc i możliwość nieodpłatnego podłączania się do energii Juliana w każdej sytuacji, w której odczuwałam wyraźne obniżenie nastroju.

Bywały jednak okresy, gdy Julian był **KKK** (kwaśny, kapryśny, kosmiczny).

Wiadomo wtedy , że zapasy substancji **Serotoninum Julianum** wyczerpały się i oczekiwał on nowej dostawy z kosmicznych magazynów. Czas przestoju jednak nie przekraczał zwykle miesiąca.

MIKA BEREZOWSKA

Julian Maliszewski - mój przyjaciel z lat szkolnych, któż Go nie znał. Począwszy od pani dyrektor a na woźnym skończywszy, każdy miał coś do powiedzenia na Jego temat. Szczególnie zapamiętała Go zapewne pani profesor Grzybowska, nasza polonistka. Pewnego razu mieliśmy napisać w domu wypracowanie na temat jakiejś lektury szkolnej (jakiej, nie pamiętam, ale nie ma to w tej chwili żadnego znaczenia) o odczytanie pracy domowej został poproszony Julian. Mój dzielny kolega wstaje i zaczyna czytać. Czyta, czyta i czyta wręcz śpiewająco, tylko nie przewraca kartek w zeszytach. Nas wcale to nie dziwi, ale panią profesor wręcz przeciwnie, zainteresowana podchodzi bliżej i co widzi? Pusty zeszyt. Jak On pięknie improwizował (gadane miał zawsze), niestety nie zostało docenione to co w głowie ,tylko to co na papierze, dostał pałę, ale czyż nie świadczyło to o jego wybitnej inteligencji i sprycie?

Julian był naukowcem, znał wiele języków, ale jak byliśmy w szkole nie zawsze był zainteresowany przyswajaniem wiedzy, nie był absolutnie kujonem! Na lekcjach języka angielskiego więcej uwagi (zresztą nie tylko On) poświęcał pani profesor Kargol, niż językowi Szekspira. Po zmianie nauczyciela (został nim mąż pani profesor) nie było już do kogo wzdychać, trzeba się było uczyć. Co do języka rosyjskiego nie będę długo pisał, nikt za nim nie przepadał, nie ze względu na sam język, ale z powodu pani profesor, która go wykładała. Tak się złożyło, że była Ona również naszą wychowawczynią, w związku z czym lekcje wychowawcze również odbywały się w języku naszych wschodnich sąsiadów, a tego było dla nas już za wiele. Julian jak my wszyscy nie przepadał za tymi lekcjami.

Bardzo lubiliśmy nasze wycieczki szkolne, ale nie mogę ich opisać, bo nie chcę nikogo zgorszyć; było super, zwłaszcza przed maturą. Wspominam jeszcze jedną rzecz, a mianowicie działalność artystyczną mojego przyjaciela. Wraz z kolegami Jackiem Czyżowskim i Kaziem Kryjakiem założyli zespół muzyczny, grali przeboje z naszych lat i własne kompozycje Juliana. Uświetniali swoją grą oficjalne akademie szkolne, zabawy i prywatki. Jak Oni grali... a właściwie jak On grał i śpiewał, dziewczyny "sikały po nogach". Była jedna piosenka, zespołu Breakout pt. "Anna", którą zawsze śpiewał, pytanie dlaczego? Niech to pozostanie w sferze domysłów....

Kończąc te krótkie wspomnienia z lat szkolnych, muszę powiedzieć: Julian był fajnym facetem, przyjacielem i kompanem, a to że "wyrósł" z Niego taki wybitny PROFESOR, to wynik pracy i wsparcia wspaniałej ŻONY i CÓRKI.

Wspominał kolega z ław szkolnych,

LESZEK BLASZKE

Nieprzeciętny intelekt, imponująco rozległa wiedza, znawca i autorytet w wielu dziedzinach naukowych, swobodnie rozmawiał w siedmiu językach obcych. Był też multiinstrumentalistą (grał na pianinie, flecie, klarnecie, saksofonie i gitarze), do tego słuch absolutny, wychwytyjący każdą nieczystość na koncertach „live”. Takiego znałam Go i ja, ale dla mnie był przede wszystkim moim Tatą.

Najbardziej zaskakująca była różnorodność i szerokie spektrum zainteresowań mojego Ojca. Godzinami mógł rozprawiać o problemach filozoficznych, medycznych, prawnych czy teologicznych. Potwierdzeniem tych ostatnich niech będą zagadnienia dla księdza-katechety z liceum, które Tata podyktował mi (oczywiście „z głowy”), gdy poskarżyłam się, że ksiądz zbywa moje pytania natury egzystencjonalnej. Do dzisiaj mam tę kartkę, więc cytuję: „1. Dlaczego współczesna myśl teologiczna odrzuca antropocentryzm Teilharda de Chardin? 2. Dlaczego Jezuita odrzucił teorię spolegliwości biblijnej ks. Prof. Andrzeja Jana Zuberbiera, też Jezuita. Chodzi o komentarz prof. Vetulaniego w numerze 2 *Science et Vie* z marca 1992 r. 3. Czy fenomenologię Ingardena można zastosować w teologii dogmatycznej? Chodzi o wypowiedź kard. Josepha Ratzingera cytowaną w książce biskupa Nossola *Teologia na użytek wiary*”. Oczywiście, nie chciałam, aż takiej „zemsty”, więc pytań księdzu nie zadałam.

Wydawać by się mogło, że ktoś tak oświecony nie miał czasu ani ochoty na bardziej przyziemne sprawy. Nic bardziej mylnego. Będąc z wizytą u rodziców obserwowałam, jak na stole w kuchni obok „Gazety Wyborczej”, „Polityki” czy „Newsweeka” również leży „Gala” lub „Viva”, które Ojciec czytał i komentował z wrodzonym humorem i swadą. Jedną z dziedzin, na której znał się doskonale była moda (to Ojciec przywiózł mi z zagranicy pierwsze markowe džinsy w czasach mojej wczesnej podstawówki). Wiedział, jakie są najnowsze trendy, co i jak się „nosi”, a co nie (w ramach relaksu lubił zerknąć na Fashion TV). Pamiętam, jak przy okazji luźnej rozmowy o zakupach, zrobił mi „wykład” na temat damskich torebek i ad hoc wymieniał tote bag, hobo bag, bowling bag i clutch bag. Zaniemówiłam, nie pierwszy i ostatni raz.



Julian Maliszewski z córką (1975 r.)

ALINA BRYLL

Drogi Jubilacie,

Ćwierć wieku temu było jakoś bardziej normalnie, cieplej między ludźmi, sztuka była mniej sztukowana, lwy były w klatkach, a pazury mieliśmy jakoś bardziej tępe, Bitelsi byli młodszy, kina pełne widzów, bo i filmy były z prawdziwymi aktorami, a koncerty i spektakle po prostu grali bo chcieli, nawet nie raz niezrozumiale za darmo, wiedza była w książkach, a uczucia nieokłamane prawdziwe.

Właśnie wówczas, ponad dwadzieścia lat temu, poznałem Juliana Maliszewskiego. Los nas, jak się później okazało i do dziś okazuje, szczęśliwie skojarzył. Przez wszystkie kolejne lata przegadaliśmy tysiące kilometrów życia, naszych wzajemnych historii, spraw ważnych i tych zwyczajnie prozaicznych. Julian jest człowiekiem absolutnie wyjątkowym, pod każdym względem perfekcjonistą, obdarzonym niepoliczoną ilością talentów. W zakresie swoich ukochanych nauk filologicznych jest niekwestionowanym autorytetem a dla wielu kolegów po fachu wręcz guru. W miarę upływu lat, czym bliżej poznawałem Juliana, tym bardziej zmieniał się mój pogląd na otaczający świat, stosunek do ludzi, relacje i klimaty w sztuce. Z czasem stał się moim mentorem, ojcem chrzestnym moich poczynań. Niemalże nie było wernisażu, którego Julian by nie otwierał, czy katalogu, którego nie opatrzyłby swoim zawsze perfekcyjnie celnym komentarzem. Od lat czuję się ogromnie wyróżniony tą prawdziwą, dojrzałą przyjaźnią, którą obdarzył mnie nie tylko Julek, ale także jego najbliżsi. Wszystkie nasze spotkania, także w towarzystwie jego wspaniałej żony Zosi, są dla mnie bardzo ważne, ponieważ jego ogromny urok osobisty i zalety towarzyskie są nieocenione. Nie mam żadnych wątpliwości, że profesor Maliszewski należy do ginącego już gatunku współczesnych ludzi renesansu. Jest przykładem niekwestionowanego mistrza, zawsze skłonnego do pomocy i wsparcia. W potrzebie można też liczyć na jego gorące słowa otuchy.

Dziś, po prawie dwudziestu pięciu latach, czasy się zmieniły. Lwy opuściły klatki na wyścigi, pochłódniało między ludźmi, kina opustoszały, Bitelsi się postarzel, a niektórych już nie ma, ludzkie pazury na gardłach konkurentów, wiedza w Internecie, po prostu świat idzie z podstępem, ale czy jest piękniej i weselej? A może tak właśnie jest prawdziwiej.

Drogi Julianie, dostojny jubilacie, dziękuje Tobie i Twoim bliskim za to, że się nie zmieniasz, pozostajesz perfekcjonistą w każdym calu, jak zawsze odkąd Cię znam. Czasami się zastanawiam, skąd w Tobie tyle siły i dyscypliny przy całym dystansie do samego siebie i tak sobie myślę ile jeszcze będę potrafił się od Ciebie nauczyć. Życzę Ci długiego szczęśliwego życia i należnego szacunku od nawet tych, którzy nie do końca rozumieją znaczenie tego słowa. I proszę, pozostawaj zawsze jak dotąd ze mną w chwilach dla mnie ważnych i najważniejszych, bo ja zawsze jestem do Twojej dyspozycji.

JANUSZ „BURZA” BURZYŃSKI

Wszyscy znają Profesora Juliana Maliszewskiego, jako wybitnego wykładowcę, językoznawcę, tłumacza. To wszystko prawda, a tak wybitne umysły zdarzają się niezwykle rzadko.

Ale nie wiem, czy Państwo znaliście inne wcielenie Juliana, które miałem okazję poznać. Mało tego, miałem zaszczyt obcować z Nim dość często, czerpiąc z niewyczerpalnych wręcz pokładów wiedzy - Julian jako muzyk i muzykolog.

Poznaliśmy się na przełomie 1993/94 w czasie mojej pracy w Radiu O'LE - pierwszej komercyjnej stacji radiowej. Profesor był naszym Doradcą. Od tego czasu, z mniejszą lub większą częstotliwością spotykaliśmy się. Julian organizował wspaniałe, niespotykane dzisiaj, wieczory muzyczne, gdzie akompaniując na fortepianie śpiewał, a my próbowaliśmy mu (nieudolnie) dorównać. Przeboje współczesne, stare, nowe, różne gatunki, aranżacje. Niespotykane, czarujące, prawdziwa uczta!

No i te niekończące się rozmowy o muzyce. Klasyczna - proszę bardzo, rockowa - też, słowem każda. Ostatnio rozmawialiśmy przy kawie u Juliana: mówię, że byłem w Berlinie na koncercie AIDA Night Of Proms, opowiadając, że to taki show, gdzie gwiazdy i orkiestra i chór....I tu włącza się Julian: tak znam, dyrygentem jest ten i ten, grają od tyłu i tyłu lat, show wygląda tak i tak.

Uwierzcie, nie było takiego tematu, wykonawcy, koncertu, o którym nie można by było z Julianem porozmawiać, a wszystko, jak zawsze, profesjonalne i okraszone dowcipem.

I naprawdę, mogliście się mocno zdziwić, że wiedział o Metallice więcej, niż np. Wasze dzieci.

ROBERT GŁĘBOCKI

Gratias tibi maximas ago Professore!

O Julinie Maliszewskim dowiedziałem się w czasach przaśnego socjalizmu od mojego starszego brata Henryka, który jako inżynier składał egzamin bodaj przygotowujący kierownictwo zakładu (dziś powiedzielibyśmy) menadżerów do pracy dydaktycznej z młodą kadra techników zatrudnionych w Zakładach Dziewiarskich „Opolanka” w Opolu. Brat w peanach wyrażał się o egzaminatorze, szczególnie o jego niebywałej wiedzy humanistycznej: literaturze, muzyce i szeroko pojmowanej kulturze - podawanej z niebywałym poczuciem humoru, co jak wiemy w świecie pedagogów zdarza się bardzo rzadko. Brat mimo politechnicznego wykształcenia jest wielkim miłośnikiem literatury, teatru i jak to się mówi starego wróbla trudno by nabrać na plewy... Fascynacja erudycją i polotem intelektualnym Maliszewskiego była tak ogromna i autentyczna, że się zeżliłem doprawdy... że ja też Go Nie znam!

Juliana poznałem w Państwowej Instytucji Imprez Artystycznych „Estrada Opolska” z którą współpracowałem przy organizacji opolskich festiwali piosenki. Przesiadując w dziale Organizacji na socjalistycznej „prawdziwej” kawce goszczony przez Ryszarda Ostaszewskiego często słyszałem jak znany polski menadżer pracujący wówczas w Opolu Andrzej Smereka mówił wyprawiając w trasę koncertową muzyków: „że jak jedzie doktorek to nie ma problemów”. Dowiedziałem się wówczas, że ów doktorek to muzyk z charakterystyczną bródką de facto doktor nauk humanistycznych - nauczyciel akademicki Julian Maliszewski. Pewnie w tych okolicznościach od słowa do słowa poznałem osobiście człowieka któremu dziś tak wiele zawdzięczam... I jak tu o Nim pisać? zaraz na myśl ciśnie się powiedzenie Pabla Picasso, który ponoć gdy pokazano mu rzeźbę Dunikowskiego, przedstawiającą popiersie Stalina ..powiedział nigdy nie wiedziałem, że można tak rzeźbić w wazelinie...

Wiem, że cokolwiek w tak zaistniałej sytuacji napisze odczytane być może jak dytyramb albo jako marna elukubracja. O właśnie pojawiły się leksykalne terminy należące do ulubionego mego zestawu pytań do Profesora mające na celu „zagięcie” mistrza czy wie co one oznaczają? jaka jest ich przestrzeń semantyczna? jakby powiedział profesor Miodek. Na profesora Maliszewskiego nie było jednak mocnych często bowiem wyszukiwał terminy rzadko używane, będące kalką obcych języków, ale dla profesora nie były one obce, gdyż posługiwał się kilkoma językami, które nie były mu „obce” i w każdym z nich miał coś do powiedzenia... bowiem Julian Maliszewski był profesorem nowego typu, krótko mówiąc: erudyta, naukowiec człowiek ze wszech miar nowoczesny (format światowy) lubiący ekskluzywne gadżety elektroniczne, utensylia męskiej garderoby, markowe ubrania no i oczywiście tylko nowe samochody. Poza lingwistycznymi predylekcjami Julian obdarowany został wielkim talentem muzycznym i na tym polu artystycznego działania odnosił znaczące sukcesy. Grał na kilku instrumentach, może nie był wirtuozem, ale imponował ogromną kulturą, inteligencją i wielką intuicją muzyczną. Godne podziwu było poczucie humoru Profesora, które jak wiemy był osobliwą wizytówką intelektu i satyrycznego widzenia świata. Kto nie znał Jego autorskiego dowcipu o Polaku na Pasterce... ten nie znał Profesora... Trzeba stwierdzić, że Julian Maliszewski namiętnie w życiu codziennym, a zatem i akademickim walczył z głupotą natrzęsając się z niej w myśl

maksymy ukutej przez Moliera: „Bo gdy kogoś dręczy wada, śmiać się z wady to nie grzech, bo najlepszy lek na wadę to serdeczny szczerzy śmiech”... Przy całej pogodzie ducha i koncyliacyjnym usposobieniu jako profesor, dydaktyk czy promotor był wyjątkowo wymagający i jak mawiał Witkacy nie uznawał umysłowej tandety. Jednak gdybym chciał dokonać charakterystyki tak barwnej i wielkoformatowej postaci jako człowiek ocierający się o antropologiczne opisywanie kultury, powiedziałbym o moim promotorze, że był typowym acz rzadkim przypadkiem człowieka o cechach tak zwanej kalokagatii opisywanej przez Arystotelesa.

Drogi czytelniku, wszechstronność intelektualnych zainteresowań buduje właśnie taki wizerunek pełnego rozwoju duchowo –kulturalnego Profesora Juliana Maliszewskiego. Warto przypomnieć o Jego wyjątkowej wiedzy prawniczej, medycznej, teologicznej, wspomnianej muzycznej i jakże ważnej wiedzy tłumacza... A całokształt w pełni kulturalnego człowieka dopełniają takie walory jak elegancja (nie utożsamiana z jej wariantem nowobogackim), dbałość o kondycję fizyczną, no i filozoficzne spojrzenie na ziemski padół. Musze się streszczać bo mój tekst to żadne palawery, to pełna szacunku narracja sylwetki drogiego mi Profesora.

Dane było mi poznać mamę i ojczyzna Juliana, poznać małomiasteczkowe środowisko z jakiego się wywodził i wówczas uświadomiłem sobie, jaką demoniczną pracą okupiony jest zawodowy i życiowy sukces mego promotora! W tym miejscu aż się prosi, by zacytować jakże mądre i pasujące do opisywanej sytuacji słowa poety:

Nie głaskało mnie życie po głowie

Nie pijałem ptasiego mleka

No i dobrze

No i na zdrowie

Tak wyrasta się na człowieka!

ANDRZEJ KĄCKI

Powrót – fragmenty przeszłości z Julianem

Zawsze był dla mnie osobą wyjątkową. Już kilkadziesiąt lat temu, młody doktor nauk, był synonimem wszechwiedzącego omnibusa. Wiele razy - w trakcie naszych spotkań - podejmowałem tematy rozmów, które wydawały mi się znane i przekonywałem się jak mało znane. Mimo tego nie odczuwałem dyskomfortu w trakcie i po zakończonej rozmowie. Czasem zastanawiałem się, czy cokolwiek z tego co powiedziałem było dla niego nowe, interesujące. Dziś wiem, że cierpliwość Juliana wynikała z jego wyrozumiałości. Nasze rozmowy dotyczące wiary, psychologii, biznesu i przypadkowe dotyczące biografii Napoleona czy produkcji whisky, czekolady wspominam ze zdumieniem jako merytoryczny wykład bez przygotowania.

Z czasem uczestniczyłem w spotkaniach Juliana z innymi osobami. Wspominam zabawne sytuacje rozmów Juliana z „ekspertami z ich dziedzin”, gdy zdziwieni specjalistyczną wiedzą Juliana, pytali mnie na boku - co to za GOŚĆ ? Julian był otwarty, serdeczny i zaskakiwał swoją zwykłością. Czasem stawał się swojakiem. Kiedyś poprosiłem go, by zagrał na organach w kościele w trakcie ślubu pracownicy. Proboszcz - faroż wahał się czy udostępnić nam klucz na chór, ale natychmiast zmienił zdanie, gdy Julian - zaczął godać po śląsku. Nie powinienem się dziwić, bo przecież Julian znał wiele języków. Byłem jednak zaskoczony bogatym słownictwem i tym, że faroż po kilku zdaniach uznał go za swego.

Nie uczy się ten, który ciągle mówi, bo nie może słuchać. Julian miał słuch wyborny. W maleńkim mieszkaniu Państwa Maliszewskich mieszkał fortepian, gitara, saksofon, flet i obój. Było im ciasno, a i swe możliwości koncertowe miały bardzo ograniczone. Jestem bardzo wdzięczny Zosi i Julianowi za gościnność i chwile spędzone przy utworach, które czasem udawało mi się rozpoznać. Któregoś dnia, u mnie w domu, zabawiliśmy się w rozpoznawanie muzyki. Mój misterny plan, trudnych pytań, marnie wypadł. Julian rozpoznał utwory i tytuły filmów z mojej kolekcji muzyki filmowej lepiej niż ja. Kiedyś mu to wybaczę. Innym razem bardzo miłą niespodziankę sprawił mi grając na fortepianie - z pamięci - mój ulubiony utwór All By Myself. Dodatkowo zapoznał mnie z wieloma nowymi szczegółami z biografii kompozytora. Uczta dla ducha - przy muzyce - to wyjątkowo miłe dla mnie wspomnienie, ale jest ich wiele więcej, także dla ciała.

Zwiedziliśmy razem baseny i sauny w Opolu, Gogolinie, Kluczborku itd. Dobrze, że norma Juliana po dnie basenu 2 x 25m i 2 km na powierzchni nie była rozgrzewką.

Z czasem, jak sądzę, poznałem Juliana lepiej. Stawał się osobą coraz bardziej znaną i szanowaną ale tą samą - otwartą, przyjazną, serdeczną, potrafiącą nadal cieszyć się drobiazgami. Po wielu latach pokazał mi pióro i zapytał czy je pamiętam. Okazało się, że to ja mu je podarowałem i przy okazji opowiedział mi z dumą historię wielu drobiazgów, które pieczołowicie przechowuje jako symboliczne podziękowania od studentów. Wiele razy dzielił się ze mną spontaniczną młodzieńczą radością, gdy udało mu się kupić ciekawą książkę, nowe oprawki do okularów, zegarek, plecak itd.

Julian był nauczycielem i przewodnikiem, ale nie tylko dlatego, że był Profesorem o zadziwiająco dogłębnej, wszechstronnej wiedzy, lecz dlatego, że był obdarzony wrażliwością, wyrozumiałością i otwartością na bliźniego. Za każdym razem, po spotkaniu z Julianem, przypominałem sobie, że mądrą częścią wiedzy jest świadomość niewiedzy. Tak uczył mnie pokory i zachęcał do rozwoju.

Pewnie doskonale to wiesz, Julianie. Stałeś się dla mnie doradcą i przyjacielem. Mogłem zaufać Ci i wysłuchać Twoich mądrych rad w trudnych sprawach.

ZA WSZYSTKIE CHWILE SPĘDZONE Z TOBĄ, ZOSIĄ I ALINKĄ BARDZO SERDECZNIE DZIĘKUJĘ.

MIREK KRAWCZYK VEL CANALETTO

Dostojny Jubilacie, kiedy doszła do mnie informacja, że jakoby sumowana jest pierwsza połowa Twojego zacnego życia nie mogłem sobie odmówić przyjemności skreślenia tych kilku zdań.

W końcówce lat 70-tych i początku 80-tych dane nam było współpracować w bardzo dobrej, wręcz eksportowej grupie satyrycznej naszego regionu, kabarecie „Skrzat” z WSP w Opolu.

Adiunkt w zespole, jeszcze po części studenckim, to była swoista ciekawostka dlatego też bywało, że wrywaliśmy się w prezentacji członków grupy na zakończenie programu z tekstem: „**a przy fortepianie – doktor Julian Maliszewski**”.

Podnosiło to tzw. średnią intelektualną grupy. Myślę, że gdybyś teraz zagrał, to podniosłoby ją jeszcze bardziej, a pewnie i na kilka innych grup by też starczyło.

Kabaret wtedy urzekł nas wszystkich swoimi możliwościami dotarcia do różnych środowisk, tworzyliśmy autentyczną wspólnotę śmiechu nie tylko z rzeczywistości w jakiej przyszło nam żyć ale z siebie samych, naszych zachowań i postaw.

A nie wszystko jeszcze wtedy było wolno powiedzieć, no to pokazywaliśmy albo śpiewaliśmy, jednak żeby jakoś zaśpiewać, potrzebne było Twoje wsparcie muzyczne i to na niejednym instrumencie, wrażliwość na dźwięki, zdolności kompozytorskie i słuch absolutny.

Nie! Słuch absolutny wycofuję, bo czasem nam jednak przeszkadzał...

I jeszcze jedna Twoja niewątpliwa zaleta z tamtego kabaretowego okresu życia – byłeś jedynym zmotoryzowany członkiem zespołu, co oczywiście wpływało tak na jego prestiż, jak i dawało możliwość wykonania nawet trzech koncertów dziennie. Po nich przywoziłeś nas bezpiecznie z powrotem do Opola, czasem noc była już bardzo późna, a my jeszcze na chwilę wskakiwaliśmy do Ciebie. Była kawa i ciasto, które Zosia – Twoja wspańska małżonka – upiekła dla „swojego” Juliana, a my szybko robiliśmy podsumowanie występów i plan na następne. Mała Alinka spała śniąc być może o karierze skrzypaczki albo wprost przeciwnie...

Jeden z takich wyjazdów zapamiętałem szczególnie. Jadąc któregoś dnia na trzy koncerty odbywające się na Śląsku wybraliśmy nieco dłuższą, ale znacznie spokojniejszą trasę. W trakcie jazdy został podniesiony jakiś szczególnie istotny problem z zakresu otaczającej nas wtedy rzeczywistości, który omawialiśmy dogłębnie i żywiłowo. W ferworze dyskusji przejechaliśmy przez niestrzeżony przejazd kolejowy i tylko podmuch powietrza pędzącego pociągu mocno zarzucił samochodem, ale Julian sobie z tym poradził, natomiast nam wszystkim uświadomiło to fakt, że emocje znacznie zawężają pole widzenia – i że w życiu liczy się każda sekunda. Zatrzymaliśmy auto, wyszliśmy i zapaliliśmy. Dwóch dotąd niepalących – również. Dojechaliśmy szczęśliwie. Nasz menager był zadowolony, bo przecież inaczej musiałyby odwołać 60 występów.

Drogi Jubilacie dziękuję Ci za chwile spędzone wspólnie, za umiejętność bycia i współtworzenia zespołu, za twórczy wkład w jego rozwój, za humor uśmiech, życzliwość i przyjaźń. Jak się ma takiego członka można zrobić wszystko!

Piszę te słowa również w imieniu członków ówczesnego kabaretu SKRZAT: Józefa Kalety, Wojtka Okroskowicza, Mirosława Hadriana, Jurka Zapolnego, Tomka Komarnickiego i Bolka Drochomireckiego.

Pamiętaj Kochany Jubilacie: „Kto wesół ten długo żyje” to z Szekspira ale co mi tam, ja też tak uważam.

Pozdrawiam Ciebie i Twoja Rodzinę.

JAN KAROL MINKNER

Poznaliśmy się z Julkiem w 1969 r. w Hufcu ZHP w Niemodlinie na jakiejś naradzie przed obozowej.

To Harcerstwu zawdzięczam moją przyjaźń z Julkiem.

Chciałbym o tej przyjaźni słów kilka powiedzieć i przypomnieć jak w Niemodlinie skrzyżowały się nasze losy w tych trudnych latach, zwłaszcza po marcu 1968 roku. To, co było dla nas wówczas niezwykle ważnym sposobem na dojrzewanie, to „ucieczka” w harcerstwo. To również doświadczenie całej naszej generacji, i przygoda w nowej roli - instruktorów harcerskich. Dziś po latach można śmiało powiedzieć że harcerstwo pozostało w nas przez całe życie.

Nasza przyjaźń rozwinęła się na samym początku. Siadaliśmy obok siebie na naradach i spotkaniach, wyjeżdżaliśmy na biwaki i obozy, szybko nabraliśmy do siebie zaufania.

Julek był wtedy świeżo upieczonym magistrzem, który rozpoczął pracę w niemodlińskim Liceum. O wyborze pracy w Niemodlinie przesądziła miłość do Zosi. Dziś, po tylu latach, trzeba przyznać, że był to niewątpliwie świetny i świadomy wybór, bardzo młodego chłopaka. Zawsze kiedy Julek wracał do domu, najpierw do małego socjalnego mieszkanka w Niemodlinie, potem na swoje drugie piętro w Opolu, a teraz do wspianego, jak mówią oboje „domeczku” zawsze był niezmiennie od lat oczekiwany przez swoją ukochaną żonę.

Poczytuję sobie za zaszczyt że Oboje byli moimi wspianymi przyjaciółmi.

Spotykaliśmy się czasami bez powodu, a czasami w bardzo konkretnym celu „prywatnie i służbowo”.

Służbowo - zapraszałem Julka, już wtedy jako Zastępcę Komendanta Hufca, na wszystkie narady i spotkania w Hufcu (zawsze udzielił mi mocnego wsparcia). Takim przykładem spotkań o szczególnej wadze, były nasze wyjazdy na obozy i organizowanie różnych Hufcowych ważnych i mniej ważnych imprez turystyczno sportowych, z najważniejszymi dla nas - Festiwalami Piosenki Harcerskiej, które bez ogromnego wkładu pracy Julka, jako instruktora muzycznego, chórmistrza i wspianego akompaniatora, pewnie by się wcale nie odbyły.

Służbowo też bardzo mi niejednokrotnie pomagał, jako tłumacz i doradca w moich bussinesach.

Prywatnie – organizowaliśmy różne eskapady i spotkania. Po 1975 roku drogi nasze nieco się „rozjechały”. Zderzaliśmy się jednak w różnych konfiguracjach, towarzyskich i zawodowych. Wiele ma mu do zawdzięczenia moja córka Kasia. Spędziliśmy z Julkiem wiele pięknych chwil kraju i za granicą, i szkoda, że takich chwil już przed nami nie będzie....

Julek był indywidualistą, wybrednym w doborze towarzystwa, chociaż, generalnie, z każdym utrzymywał dobre, lub przynajmniej poprawne stosunki. Prawdę mówiąc, nie znam ludzi, którzy by Julka nie lubili. Zdecydowanie unika konfliktów, chyba dlatego, że zakłócałyby mu spokój ducha i przyjemność życia. Potrafi jednak bronić swojego zdania, kiedy chodzi o sprawy dla niego istotne.

Od zawsze, charakterystyczne dla Julka było nieoczekiwane zderzenie zupełnie przeciwstawnych sobie cech osobowościowych. Subtelne, intelektualne igraszki umysłu naukowca, głęboka potrzeba wysublimowanych doznań artystycznych i estetycznych a jednocześnie pogoń za najbardziej trywialnymi przyjemnościami ciała. Ta różnorodność cech, tworzyło w Jego osobowości dziwną, chyba niemożliwą u innych, harmonię:

- powaga i dojrzałość myśli, ogromna odpowiedzialność za własną pracę, twórczość, za każde wypowiedziane słowo, skrzyżowane z

- jakąś dziecięcą, życiową niefrasobliwością, jurnym i dosadnym językiem barda, zupełnie różnym (i przez to dużo ciekawszym) od języka wykładowcy akademickiego, jednak zupełnie w Jego ustach nierażący, nawet uszu kobiet (uwielbiających Go zresztą!).

Na potwierdzenie, małe wspomnienie chyba z 1972 roku.

Julek, (jak wiadomo, może tylko najbliższym) był wspaniałym opowiadaczem dowcipów śląskich i nie tylko. Jego popisy aktorskie, podczas opowiadania były, jak zwykle u Julka suto okraszane „słowami niecenzuralnymi”.

Pamiętam, jak na jednym z obozów w Sękowcu w Bieszczadach, oczekiwaliśmy wizytacji z Komitetu Partii i Wydziału Oświaty z moim teściem na czele. Bardzo wtedy prosiłem Julka aby powstrzymał się, chociaż do wyjazdu szanownej komisji i używał normalnego języka. Przyjechali, Julek trzymał się dzielnie, cały dzień był „grzeczny”, kiedy jednak późnym wieczorem obóz już spał, a Komenda obozu zasiadła z członkami wizytacji w tak zwanym namiocie kadrowym, aby wysłuchać oceny szanownej kontroli, Julek nie wytrzymał i zaczął po swojemu. Ja myślałem że wleżę pod stół (byłem komendantem obozu), robię miny do Julka, pokazuję, żeby już przestał, łapię gitarę, żeby coś zaśpiewać – pośpiewaliśmy, a on znowu - kawały po rusku i śląsku. Patrząc na szanowną kontrolę, czekam aż padną słowa oburzenia, aż ktoś mu przerwie, a tu proszę, na odwrót. Teść w siódmym niebie, panie wizytatorki proszą o jeszcze. Skończyło się tym, że szanowna komisja, ku wątpliwej mojej uciechu, nie chciała wyjechać przez następnych kilka dni. Julek brylował każdego wieczoru, kontrola pękała ze śmiechu, i tak chyba ze cztery dni. Protokół pokontrolny był dla nas wspaniały, sądzę, że w dużej mierze dzięki niepowtarzalnemu Julkowi.

Jak "zaszufladkować" tę niebanalną Postać? Ja nie potrafię oceniać go jako uczonego, nauczyciela akademickiego. Niech to robią inni, bardziej kompetentni. Dla mnie Julek to zawsze piękna postać, wspaniały człowiek, a przede wszystkim życzliwy Przyjaciel, dopiero potem nieprawdopodobnie, wszechstronnie uzdolniony, wielkiego formatu nauczyciel i uczyony, także niedościgniony dla mnie muzyk i meloman. Każde spotkanie z nim, nawet krótkie, było dla mnie wspaniałym intelektualnym i muzycznym przeżycie. Julek był dla mnie wielkim autorytetem w każdej dziedzinie.

Dziękuję Ci, że byłeś, Przyjacielu.



Julian Maliszewski w różnych rolach na obozach harcerskich (1974 r.)

ZBYSZEK MUŻECKI

Profesor zwyczajny, doktor habilitowany Julian Maliszewski. Zaczyna osobowość, człowiek wielkiego formatu.

Dla mnie jednak był Julkiem – przyjacielem, na którego zawsze mogłem liczyć, człowiekiem, z którym spędzałem czas na rozmowach o życiu, o muzyce...

Poznaliśmy się w zamierzchłych czasach – w poprzednim stuleciu, na początku lat osiemdziesiątych - gdzie wspólnie „jammowaliśmy” w opolskim klubie Arlekin. Julek był zdolnym, wszechstronnym muzykiem: grał na flecie, fortepianie, potrafił zaaranżować, skomponować. Muzyka była dla Niego ogromną pasją. Chyba właśnie dlatego miał ogromny dylemat, w którą stronę pójść... I chociaż nie poszedł za Muzyką, zajmowała Ona w życiu Julka bardzo ważne miejsce.

Kiedyś spotykaliśmy się bardzo często – był to czas przyjęć i bali przebierańców! Julek potrafił wykazać się ogromną fantazją i inwencją twórczą – raz upodabniał się do UB-ka, kapitana milicji – innym razem występował w roli księdza!

W czasach, kiedy spotykaliśmy się znacznie częściej, bardzo często, podczas spotkań towarzyskich, chwytaliśmy instrumenty i graliśmy – bez przygotowania, bez obawy, że coś nie wyjdzie – zawsze wychodziło! Graliśmy, wymienialiśmy spostrzeżenia, poglądy... piękne to były czasy!

Julek dysponował ogromną wiedzą muzyczną – zarówno jeśli chodzi o klasykę, ale również jazz czy rock. Muzyczne pogawędki z Julkiem – uczyły, bawiły i budowały więź, która umacniana latami trwała i trwała...

Z dużą sympatią wspominam też nasze tradycyjne spotkania Wielkanocne nad Jeziorem Turawskim. W drugi dzień Świąt składaliśmy sobie nawzajem życzenia, dzieliliśmy się jajkami i oczywiście rozmawialiśmy o Niej – o Muzyce...

Taki właśnie obraz na zawsze pozostanie w mojej duszy - Julek Maliszewski – profesor Przyjaźni - doktor Muzyki!

KRZYSZTOF „PUMA” PIASECKI



Na domowym jamm session z Krzysztofem „Pumą” Piaseckim i Kasią „Pumą” Piasecką (2008 r.)

Serdeczne pogawędki o wszystkim

Nieczęsto zdarza się by Człowiek, który jest zawodowym Autorytetem był jednocześnie znakomitym Partnerem do rozmów na tematy powszednie. Szeroka gama poruszanych przez nas zagadnień w przeróżnych aspektach to między innymi:

Anatomia ludzkiego ciała | **Braki** intelektualne | **Codzienne przyjemności** | **Dobra kuchnia** | **Enologia** | **Filozofia** | **Głupota** | **Hierarchia wartości** | **Intymność** | **Język** | **Kultura** | **Luksus** | **Łatwe pieniądze** | **Muzyka** | **Natura ludzka** | **Opera** | **Ploteczki** | **Rozrywka** | **Szczęście osobiste** | **Tęsknoty** | **Uciechy cielesne** | **Wspomnień czar** | **Zysk**

Ta rozpiętość sprawia, że rodzi się między nami szczególnie rodzaj konfidencji, za co niniejszym wpisem pragnę podziękować mojemu wyjątkowemu Rozmówcy.

MARTA WIŚNIEWSKA



**Prof. zw. dr hab. Julian Maliszewski jako promotor rozprawy doktorskiej –
promocja doktorska dr Marty Wisnieiwskiej (Uniwersytet im. A. Mickiewicza w
Poznaniu, 08.03.2012 r.)**

Wszyscy, którzy bliżej znają mojego szwagra Juliana wiedzą, że posiada on ogromną wiedzę z różnych dziedzin nauki i, co najważniejsze, często zupełnie niezwiązaną z przedmiotem badań zawodowych. Oficjalnie jest germanistą, anglistą, slawistą, ale dla mnie to przede wszystkim mentor od omawiania wszystkich spraw związanych z życiem codziennym. Kiedy chcę przypomnieć sobie tytuł i melodię piosenki, która „chodzi mi po głowie” – do szwagra; tytuł filmu sprzed lat – do szwagra; zawiłości prawne jakiejś umowy, wytłumaczenie reakcji psychofizycznych, kiedy zdrowotnie niedomagam i setki innych spraw – zawsze uzyskam pomoc i czytelne wyjaśnienie danej kwestii.

Dużo korzystam z tych bezpłatnych „korepetycji” przy kuchennym stole i ulubionej latte macchiato, poszerzając swoją wiedzę i permanentnie się dokształcając. Nowe terminy, zwroty, połączenia wyrazowe i obce słowa często zapisuję na karteczkach, żeby w domu je dokładniej przeanalizować i przyswoić. Aby poprzeć konkretnym przykładem wkład szwagra w moją edukację, przypomnę wakacyjny wyjazd do Włoch na początku lat dziewięćdziesiątych. Julian bardzo szybko zaczął porozumiewać się po włosku z obsługą hotelu, a w sklepach obuwniczych targował się i kupowaliśmy buty po atrakcyjnych cenach. Posiłkował się początkowo rozmówkami polsko-włoskimi, aby pod koniec dwutygodniowego pobytu zupełnie swobodnie rozmawiać z Włochami. Niestety, uparł się, że nauczy mnie podstawowych zwrotów grzecznościowych, liczb, dni tygodnia, miesięcy itp. W najmniej oczekiwanym momencie sprawdzał moje postępy, a szło mi dosyć opornie, bo to przecież wakacje, słońce, morze i inne przyjemności. Mimo tych przeciwności, postanowiłam jednak Go zaskoczyć i przyłożyłam się do nauki. Kartkę ze słówkami i zwrotami włożyłam do książki udając, że ją czytam. Słońce praży niemiłosiernie, a ja – męcząc się – wkuwam na plaży. Wieczorem gramy w karty, a ja tylko czekam, kiedy będzie odpytywanie. Długo nie czekałam, po kwadransie gry zostałam „wezwana do tablicy”. Zaczął od prostych zwrotów grzecznościowych, a gdy płynnie wymieniałam miesiące i pory roku po włosku – oniemiał. Sprawdzał czy nie mam ściąg, doszło prawie do rewizji osobistej. Zadowolenie i autentyczny podziw szwagra (na twarzy siostry i męża zdumienie połączone z uznaniem) całkowicie zrekompensowało mi wyjęty z życia wczasowiczki upalny dzień.

TERESA WIŚNIEWSKA